Leigh Brackett

Dziecko Słońca

(Child of the Sun)

Planet Stories, Spring 1942
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Eric Falken siedział bez ruchu, spoglądając bezradnie na swoje dłonie, spoczywające na sterach statku kosmicznego *Falcon*.

Czerwone światełka na znajdującym się przed nim panelu wykrywacza, pokazywały pozycje statków Hiltonistów, ustawionych w trójwymiarowy odpowiednik półksiężyca, otaczający go z góry, od tyłu i z dołu. Kleszcze okrążenia, zamykały się szybko.

Zwierzęcy instynkt ucieczki, popychał go do natychmiastowego działania, ale nie wolno mu było go posłuchać. Miał jeszcze na tyle dużo paliwa, aby wykonać jedno, ostatnie szarpnięcie, na pełnej szybkości. Ale przez ten pierścień statków, nie było drogi ucieczki. Krzyżujące się między nimi promienie ściągające, złowiłyby *Falcona* w swoją sieć, jak rybę.

Nie było również żadnej drogi przedarcia się do przodu. Przed nim wisiał bowiem Merkury, nieprzyjazny i ostro oświetlony pełnym blaskiem Słońca. Statki Gantry Hiltona, Prezydenta Federacji Planet, wynalazcy psycho-korektora i władcy dusz ludzkości, usiłowały zapędzić go w stronę planety i zmusić do wylądowania w samotnej placówce Straży Kosmicznej.

Lądowanie wydawało się nieuniknione. A wtedy…

Dla Paula Avery, wybór między śmiercią, albo Szczęściem. Dla niego samego i Sheili Moore, nie było żadnego wyboru. Oczekiwała ich śmierć.

Czerwone światełka rozmazywały się przed oczyma Falkena. Łomot płyt pod jego nogami, odpływał gdzieś daleko. Czuwał przy sterach od czterech dni, czasu wskazywanego przez chronometry na statku, przez cały czas odkąd Hiltoniści rozpoczęli za nim pościg w Losangles, na Ziemi.

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić, że spowodowane jest to jego olbrzymim wyczerpaniem, nie pozwalającym mu na jasne i sprawne myślenie. Nie potrafił jednak powstrzymać koszmaru z ostatnich dni, który krążył mu uporczywie po głowie, dudniąc w niej nieustannym pytaniem: *Jak*?

Jak Hiltoniści podążali jego śladem z Nowego Jorku? Paul Avery, rekrut Nieregeneratów, którego przyleciał zabrać, przeszedł dokładne psycho-przeszukanie –– które, nawiasem mówiąc, ujawniło, że jest to jeden z najlepszych umysłów, jakie kiedykolwiek przyłączyły się do ruchu Nieregeneratów. On nie mógł być szpiegiem. Zaś Avery z nikim nie rozmawiał, poza Falkenem.

A jednak zostali wytropieni. Czarna Straż Hiltonistów, obecnie bardzo się zaangażowała w zniszczenie ostatnich dróg ucieczki z Ziemi, dróg, którymi on, Falken, przeprowadzał ludzi.

Ale jak? Wiedział, że sam się nie zdradził. Już od trzydziestu lat potajemnie przemycał Nieregeneratów, z najsilniej ufortyfikowanych bastionów Pokoju i Szczęścia, Gantry'ego Hiltona. Był zbyt starym wygą, żeby popełnić takie błędy.

Jednak, w jakiś sposób, Czarna Straż wykryła ich w Losangles, gdzie czekał w ukryciu *Falcon*. I jakimś sposobem, udało im się wydostać z matni, razem z umierającą z głodu dziewczyną, która nazywała się Kitty…

– Nie, nie Kitty. – wymruczał pod nosem Falken. Kitty jest Szczęśliwa. Hilton zabrał mu Kitty trzydzieści lat temu. W dniu ich ślubu.

Głodująca przybłęda, która nazywała się Sheila Moore, błagała go o pomoc, ponieważ Eric Falken był niemal bogiem dla Nieregeneratów. Udało im się uciec *Falconem*, ale statki Hiltonistów podążyły za nimi.

Skomplikowany, pozbawiony nadziei lot, pełen desperackich wysiłków, żeby zgubić gdzieś pościg, zanim nie znajdą się za blisko Słońca. Raz za razem, nieustannie, zużywając cenne paliwo i szarpiąc przyśpieszeniami, które nadgryzły nawet jego twarde ciało, Falken doprowadził do tego, że wydawało mu się, że uciekł.

Ale oni znowu go znaleźli. Sposób, w jaki tego dokonali, był zupełnie niewyobrażalny.

Teraz nie miał już gdzie uciekać. Ale przynajmniej odciągnął Hiltonistów od tych żałosnych, głodujących lisich nor, w których kryli się jego ludzie, gdzieś na planetach zewnętrznych, jałowych asteroidach i w ciemnych zniszczonych kadłubach wraków, unoszących się w kosmosie z dala od szlaków komunikacyjnych.

A prędzej by się zabił, niż pozwolił na to, aby psycho-przeszukanie Hiltonistów, wydobyło z jego mózgu informacje o Nieregeneratach. Zabije się, jeżeli tylko zdoła się obudzić.

Zaczął się śmiać, pijanym, rwącym się chichotem. W żaden sposób, nie był w stanie powstrzymać tego śmiechu. Złapał się rękoma krawędzi pulpitu i śmiał się, aż łzy zaczęły spływać po jego pokrytej bliznami, ponurej twarzy.

– Przestań – powiedziała Sheila Moore. – Natychmiast przestań, Falken!

– Nie mogę. To przecież jest takie zabawne. Przez trzydzieści lat, my, Nieregeneraci, walczyliśmy z Hiltonizmem. Żyliśmy w prawdziwym piekle. Teraz w końcu zostaliśmy pobici. Tak naprawdę byliśmy już zwyciężeni, zanim w ogóle rozpoczęliśmy tę walkę. A ja mam zamiar umrzeć, żeby inni mogli cierpieć to piekło jeszcze przez parę tygodni. To jest tak cholernie zabawne!

Sen opadał na niego coraz natarczywiej. Sen, natychmiastowy i nieodparty. Ta nieodparty, że zdawał się być jakąś zewnętrzną siłą, ogarniającą i niewolącą jego umysł. Ręce Falkena oparły się wygodnie o brzeg pulpitu.

– Falken – wtrąciła się Sheila Moore. – Ericu Falken!

Stalowy ton w jej głosie smagnął go i zmusił ponownie do wyprostowania się. Przysiadła na rozkładanej koi, przymocowanej do ściany. Jej dzikie, zielone oczy płonęły ogniem, a szczupłe ciało w porwanym zielonym jedwabiu, jeszcze wyraźniej wyglądało na wychudzone i wynędzniałe.

– Musisz jakoś się stąd wydostać, Falken. Musisz uciec.

Zaprzestał dalszych śmiechów.

– Dlaczego – spytał ponuro.

– Potrzebujemy cię, Falken. Ty jesteś legendą, nadzieją, która pozwala nam się trzymać. Jeżeli ty się poddasz, to co nam zostanie, byśmy mogli dalej walczyć?

Wstała i zaczęła krążyć po wąskim pokładzie. Paul Avery obserwował ją z koi umiejscowionej na przeciwległej ścianie. Bursztynowe oczy spoglądały pusto, z bezbrzeżnym zmęczeniem, które drenowało jego barczyste młode ciało.

Falcon również jej się przyglądał. Straszliwe pragnienie snu, zwaliło się na niego z pełną mocą, przyginało jego przyprószoną siwizną, pokiereszowaną głowę, wysysało mu siłę ze szczupłych mięśni. Ale mimo wszystko zmusił się do spoglądania na Sheilę Moore.

To właśnie dlatego zaryzykował życie swoje i Avery'ego, dlatego złamał prawo Nieregeneratów aby ją uratować. Kogoś nieznanego i niewypróbowanego. Ona, w pewnym sensie, jaśniała. Wbijała się w jego umysł takim samym zimnym ogniem, jaki czuł wtedy, gdy zabierano od niego Kitty.

– Musisz uciec – powiedziała do niego. – Nie możemy się poddać, jeszcze nie.

Jej głos brzmiał jakby z oddali, jej włosy w kolorze czystego złota, wysyłały jakby mgiełkę światła. Do mózgu Falkena wkradała się ciemność.

– Jak? – wyszeptał,

– Nie wiem… Falken! – Chwyciła go wychudzonymi, obolałymi palcami. – Próbują zepchnąć cię na dół, na Merkurego. Dlaczego nie wyprowadzić ich w pole? Dlaczego nie polecieć… dalej, za niego?

Wpatrywał się w nią zaskoczony. Nawet on, nigdy by o tym nie pomyślał. Za orbitą Merkurego, była tylko śmierć.

Avery zerwał się na nogi. Na jedną zaskakującą chwilę umysł Falkena rozjaśnił się, i zobaczył wyraźnie w twarzy Avery'ego dziką zgrozę, jak u złapanego w pułapkę zwierzęcia.

– Zginęlibyśmy – stwierdził Avery ochrypłym głosem. – Gorąco…

Sheila stawiła mu czoła.

– I tak przecież umrzemy, chyba że chcesz się poddać Psycho-Zmianie. Dlaczego więc nie spróbować, Eric? Ich przyrządy nie powinny działać poprawnie, tak blisko Słońca. Być może okaże się nawet, że będą się bali polecieć za nami.

Jej szorstka, gorączkowa siła, wręcz biła im w oczy.

– Spróbuj, Eric. Nie mamy nic do stracenia.

Paul Avery powiódł wzrokiem od jednego z nich, do drugiego, a potem do czerwonych światełek, oznaczających statki. Gwałtownie usiadł na brzegu swojej koi i schował w rękach swoją szeroką blond głowę. Falken zauważył na tyłach jego dłoni, ostre sznury żył, naciągnięte, jak struny harfy.

– Ja… nie mogę – wyszeptał Falken. Żądza snu, ponownie wezbrała w jego umyśle, ostrym wrzaskiem. – Nie jestem w stanie myśleć.

– Musisz! – rozkazała mu Sheila. – Jeżeli zaśniesz, zostaniemy złapani. Nie będziesz nawet mógł się zabić. Wycisną twój mózg do dna. A potem zmienią cię w Hiltonistę, przy pomocy psycho-korektora. Wyczyszczą twój umysł impulsami elektrycznymi i prześlą do niego cały nowy wzorzec

pamięciowy, przesuwając nawet obwody myślowe, tak że nie będziesz już myślał w ten sam sposób. Zmienią twój metabolizm, równowagę hormonalną, a nawet pigmentację skóry, rysy twarzy i odciski palców.

Wiedział, że celowo wymieniła te wszystkie fakty, aby zmusić go do podjęcia walki. Ciągle jednak słabość okrywała go całunem ciemności.

– Utracisz nawet swoje imię i nazwisko – drążyła dalej. – Staniesz się spokojnym, pozbawionym energii człowiekiem, leniwie pędzącym swoje dalsze życie, po prostu kolejnym osobnikiem z kociołka Hiltona. – Wzięła głębszy oddech i dodała: – Jak Kitty.

Po tych słowach, złapał ją za ramiona, miażdżąc w dłoniach jej cienkie kości.

– Skąd o tym wiesz?

– Tej nocy, kiedy mnie zobaczyłeś, wypowiedziałeś jej imię. Być może to ja spowodowałam, że o niej pomyślałeś. Dobrze wiem, jak się czujesz, Ericu. Oni zabrali mi chłopaka, którego kochałam.

Przytrzymał ją, niebieski, odległy ogień w jego źrenicach, zdawał się nabierać siły, czerpiąc z gorącego, zielonego płomienia jej oczu. Tkwiła w niej prawdziwie stalowa determinacja. Wydawało mu się, że niemal nawet widzi iskry i słyszy szczęk, z jakim uderzała w jego umysł.

– Mów do mnie – wyszeptał do niej. – Pilnuj mnie, żebym nie usnął. Spróbuję.

Fale snu pochwyciły Falkena, niemal z fizyczną siłą. Ale odwrócił się do pulpitu ze sterami. Ostre światło Merkurego, dźgało w jego nabiegłe krwią oczy. Czerwone światełka, zaciskały coraz mocniej swoje okrążenie. Nie był w stanie myśleć. Wtedy Sheila Moore zaczęła mówić. Stała tuż za nim, trzymając na jego ramionach swoje wychudzone, lecz pełne życia dłonie, i zaczęła opowiadać mu historię Hiltonizmu.

– Psycho-korektor Gantry Hiltona, początkowo był pożytecznym wynalazkiem. Poprzez odwzorowanie i sztuczne oczyszczenie fal mózgowych, oraz wykorzystanie hipnozy elektrycznej –– do transmisji wzorców myślowych, bezpośrednio do umysłu –– służył do leczenia szaleństw, neuroz i skłonności kryminalnych, nie spowodowanych uszkodzeniami fizycznymi mózgu. Potem, wraz z końcem Wojny Międzyplanetarnej…

Czerwone światełka zbliżały się coraz bardziej. W jaki sposób mógłby przedostać się przez baterie Straży Kosmicznej? Głos Sheili pozwolił mu odepchnąć ciemność. Tym, czego najbardziej potrzebował, była szybkość. I więcej odwagi, niż musiał używać kiedykolwiek wcześniej, w całym swoim życiu. No i, szczęścia.

– Mów dalej, Sheilo. Nie pozwól, żebym zasnął.

– … Hilton zrobił karierę na swoim wynalazku. Ludzie byli znużeni, sześcioma latami zmagań. Autentycznie, chcieli Hiltonizmu, Pokoju i Szczęścia. Kierowała nimi żądza ucieczki od życia, powodując że zachowywali się jak lunatycy.

Jego ręka znalazła dźwignię awaryjną i przesunęła ją do dołu. Ostatnie uncje zaoszczędzonej mocy, pomknęły do silników rakietowych. *Falcon* odzyskał siły i zatoczył się.

Potem wystrzelił w stronę Merkurego, z ostrym, wysokim piskiem torturowanego metalu, przemieszczającym się po wibrujących ścianach kabiny.

Poczuli wybuch pocisków kosmicznych, Wstrząsnęły one *Falconem*, ale zostały daleko z tyłu. Zamykający się pierścień czerwonych światełek, uciekał coraz dalej. Przyśpieszenie szarpało ciałem Falkena, ale pajęczyna snu, nieco się rozluźniła. Głos Sheili wykrzykiwał do niego historię zniewolenia ludzkości.

Obnażone, głodne szczyty gór Merkurego, wyszczerzyły swoje zęby, do Falkena. W tej samej chwili obudziły się również działa placówki Straży Kosmicznej.

– Mów do mnie, Sheila! – zawołał. – Mów przez cały czas!

– Tak więc, Gantry Hilton uczynił siebie czymś podobnym do Boga, rządząc myślami i emocjami swoich poddanych. Obecnie nie ma żadnej opozycji przeciwko niemu, poza Nieregeneratami, a nam brak jest odpowiedniej siły. Ludzie żyją w spokojnym odrętwieniu. Nikt nie może czuć niezadowolenia, nielojalności, albo chęci rozwoju, czy też nawet zmiany. Nikt nie może walczyć, nawet w sensie moralnym. Gantry Hilton jest bogiem. Jego syn, który nastąpi po nim, będzie również bogiem. A ludzkość umiera.

Falken odniósł nagle wrażenie jakby w jego mózgu rozległo się dziwne, niemal słyszalne pstryknięcie. Poczuł szybki, straszliwy zalew nienawiści, która zaskoczyła go, ponieważ zdawała się nie być częścią niego samego. Potem odpłynęła, a jego umysł był czysty i sprawny.

Nadal był zmęczony, aż do granic zupełnego wyczerpania, ale mógł jasno myśleć i walczyć.

Wszędzie dookoła rozbłyskiwały i gasły, gwiazdy sinego, palącego ognia. Udręczone płyty kadłuba statku, skrzeczały w agonii. Szczupłe dłonie Falkena, tańczyły po kontrolkach na pulpicie. Teraz już wiedział, co ma zrobić.

W dół, w dół, prosto w czarne, plujące ogniem pyski dział, stawiając na to, że ten nagły, szybki rzut przed siebie, zdezorientuje kanonierów, że maleńka plamka jego statku, waląca się na dół, na łeb, na szyję, będzie trudna do dostrzeżenia, na tle pocętkowanych gwiazdami głębin kosmosu.

Wargi Falkena były zupełnie białe. Szczupłe dłonie Sheili, stały się tylko niezauważalnym bólem na jego ramionach. W dół, w dół… szczyty Merkurego prawie muskały kadłub statku.

Prosto przed nimi, wybuchł jaskrawo pocisk. Oślepiający, oszołamiający. Falken otrzymał statek pod kontrolą, wyłącznie instynktownie. Ryczące rakiety przez moment starły się z przyciąganiem grawitacyjnym. Potem statek przeszedł, znajdując się po drugiej stronie.

Po drugiej stronie Merkurego, w wolnym kosmosie, jak pędząca ze wszystkich sił ćma, ginąca zupełnie na tle tytanicznych płomieni Słońca.

Falken odwrócił się. Paul Avery leżał spokojnie na swojej koi, ale jego złote oczy były szeroko otwarte, wpatrując się w Falkena. Przesunęły się

na Sheilę Moore, która ześlizgnęła się wyczerpana na podłogę, a następnie wróciły na Falkena i wpatrywały się, wpatrywały, dziwnym, surowym wzrokiem, którego Falken nie potrafił przeniknąć.

Falken wyłączył silniki i zablokował stery. Gorąco już wcześniej zaczęło przesączać się do wnętrza kadłuba. Wyjrzał przez przycienione porty widokowe, na olbrzymie i obrzmiałe Słońce.

Jeszcze żadne człowiek w historii lotów kosmicznych, nie zaryzykował znalezienia się tak blisko niego. Zastanawiał się, jak długo zdołają wytrzymać gorąco i czy kadłub mógł dać im dostatecznie dobrą osłonę przed potężnym promieniowaniem.

Chwilowo jednak, jego umysł, wraz z zawartą w nim wiedzą o wszystkich obozowiskach Nieregeneratów, był bezpieczny. Zdając sobie sprawę z desperackiego charakteru tej myśli, uśmiechnął się sardonicznie, zastanawiając się, czy czasami zwykłe przyzwyczajenie nie zajęło u niego miejsca rozsądku.

Potem jasna głowa Sheili spowodowała, że pomyślał o Kitty, i wiedział już, że to zdradziło go jego zmęczone ciało. Nigdy nie mógłby się poddać.

Położył się obok Sheili. Wziął jej dłonie w swoje i powiedział:

– Dziękuję ci. Dziękuję ci, Sheilo Moore.

A potem, zupełnie spokojnie, zasnął z głową na jej łonie.

Gorąco stało się czymś trudnym do zniesienia, wampiryczną istotą, wysysającą siły. Eric Falken czuł to jeszcze nawet zanim się obudził. Leżał na koi Avery'ego, a pot cieknący z jego ciała strumieniami, utworzył pod nim kleistą kałużę.

Sheila leżała naprzeciwko niego, z zamkniętymi oczyma, włosami w kolorze surowego złota, odgarniętymi ze skroni. Porozrywane, zielone kawałki jej jedwabnej sukienki, wisiały luźno. Delikatność jej wycieńczonego głodem ciała, nadawała jej dziwne piękno, czyste i kruche, jak w przypadku lodowej rzeźby.

Żyła na ulicach i w piwnicach, kryjąc się przed Hiltonistami, ponieważ nie chciała być Szczęśliwa. Była to silna, twarda dziewczyna. Jak bezdomny kot, który po prostu nie chciał umrzeć.

Avery siedział w fotelu pilota, wyglądając przez zacieniony port. Kiedy Falken wstał, odwrócił się do tyłu. Wyczerpanie zniknęło z jego kwadratowej, młodej twarzy, ale oczy ciągle miał nieprzeniknione i dziwne. Falken nie był w stanie ich zgłębić, ale wyczuwał w nich strach.

– Jak długo spałem? – spytał go Falken.

Avery wzruszył ramionami.

– Zegar stanął. Ale dosyć długo. Może nawet ze dwadzieścia godzin.

Falken podszedł do sterów.

– Lepiej będzie już zawrócić. Ominiemy Merkurego z daleka i być może uda nam się jakoś przedostać. – Miał tylko nadzieję, że nabrana wcześniej, stała prędkość, nie zaniosła ich za daleko, biorąc pod uwagę stan zapasów paliwa, jakie im zostały.

Przez twarz Avery'ego, przepłynęła fala ulgi.

– Te rozmiary Słońca – wyznał rozdygotanym głosem. – To przerażające. Nigdy jeszcze nie czułem…

Nagle urwał. Coś w tonie jego głosu spowodowało, że Sheila obudziła się i otworzyła oczy.

Nagle zaczął dzwonić dzwonek detektora masy, gwałtowny, natarczywy sygnał.

– Meteor! – zawołał Falken i skoczył do ekranu wizora. Potem stanął jak wmurowany, wpatrując się w obraz jaki na nim zobaczył.

To nie meteor pędził w ich stronę z potężnych płomieni Słońca. To była planeta.

Ciemna planeta, czarna jak rozciągająca się za nią nieskończoność, pusta i okrutna jak śmierć głodowa, jedynie na najwyższych postrzępionych szczytach gór, muśnięta subtelnymi, fosforyzującymi ognikami światła.

Paul Avery wyszeptał:

– Dobry Boże! Planeta, tutaj? Ale przecież to jest niemożliwe!

Sheila Moore wyskoczyła z koi.

– Niemożliwe? A pamiętacie te stare legendy o Wulkanie, planecie położonej pomiędzy Merkurym i Słońcem? Nikt nie chciał w nie uwierzyć, ponieważ nigdy nie udało jej się odnaleźć. Ale również nigdy nie udało się podać wyjaśnienia zwariowanej orbity Merkurego, poza oddziaływaniem grawitacyjnym innego ciała.

Avery nie mógł ciągle uwierzyć:

– Ale obserwatoria na Merkurym, z pewnością musiałyby ją znaleźć, czy nie? – Na jego silnej, białej szyi, zaczęła pulsować żyła.

– A jednak tam jest – niecierpliwie rzucił ostro Falken. – A za minutę rozbijemy się na niej, chyba że… Sheilo! Sheilo Moore!

Przyćmiony blask przebijający przez porty widokowe, oświetlił dumne, ponure rysy, jego cygańskiej twarzy i nagły ogień w jego niebieskich oczach.

– To jest planeta, Sheilo! To może być świat dla nas, świat na którym Nieregeneraci mogliby zamieszkać i przeczekać!

Wciągnęła głęboko oddech i wpatrywała się w niego niedowierzającym wzrokiem, zaś Paul Avery powiedział:

– Ale popatrz tylko na to, Falken! Tam nikt, ani nic nie zdoła przeżyć.

Falken odparł uprzejmie:

– Boisz się wylądować i zobaczyć?

Żółte oczy spoglądały na niego płonącym wzrokiem, zmieszane i wystraszone. Potem Avery odwrócił się gwałtownie od niego.

– Nie. Ale nie możesz na niej wylądować, Falken. Spójrz tylko na nią.

Falken spojrzał, wykorzystując silny promień przeszukujący, sondując. Wulkan był nawet jeszcze mniejszy, niż Merkury. Nie było na nim atmosfery. Z jego powierzchni, jak odłamki czarnego szkła, sterczały w górę najeżone ostre szczyty górskie, obracające się powoli w niesamowicie jasnej poświacie Słońca.

Promień wniknął niżej, w bezdenną czerń kanionów między nimi. Nie było tam niczego, poza szklistymi skałami i od czasu do czasu, przyćmionymi błyskami światła między nimi.

– Wszystko mi jedno – oświadczył Falken. – Mam zamiar wylądować. – Jeżeli była choćby najmniejsza szansa, nie miał zamiaru pozwolić, aby wyślizgnęła mu się z rąk.

Nieregeneracja, była niemal martwa na zamieszkałych planetach. Paul Avery był jedynym rekrutem, od wielu miesięcy. A bez dopływu świeżej krwi, mizerne bastiony wolności w zewnętrznych Regionach Układu, również umrą.

Głód, choroby, zimno i ciemność. Niepewność i niebezpieczeństwo, okropna zgroza ludzi żyjących w oderwaniu od ziemi i światła. Jeżeli nie znajdą jakiegoś bezpiecznego miejsca, oferującego ciepło, światło i ziemię, gdzie można by hodować żywność, gdzie mogłyby się rodzić i rosnąć dzieci, Gantry Hilton wkrótce będzie miał cały Układ Słoneczny, jako swoją zabawkę.

Nie było już kolejnych protestów. Falken, z niesamowitą biegłością skierował statek na dół, lądując na występie skalnym po nocnej stronie. Potem odwrócił się do niech, czując jak krew wali mu w nadgarstkach i w szyi.

– Skafandry próżniowe – powiedział. – Są dwa i jeden zapasowy.

Założyli je na siebie, wygramolili się z trudem przez śluzę powietrzną i stanęli nieruchomo, pierwsi ludzie na nowoodkrytej planecie.

Ołowiane obciążniki w butach, przytrzymywały ich na tyle dobrze, że mogli chodzić po powierzchni planety. Falken dźgnął stalowym ostrzem trzonka czekana, w skalne podłoże.

– To coś podobnego do szkła – powiedział. – Jakiś nieznany związek chemiczny, prawdopodobnie, powstał dzięki tej samej sile zaburzeń słonecznych, które utworzyły planety. To wyjaśniałoby jego odporność na nagrzewanie się.

– Cokolwiek by to nie było – odparł Avery, – materiał ten pochłania światło. To właśnie dlatego planety nie udało się wcześniej zobaczyć. Odbijają się od niego tylko niewielkie odbłyski, zbyt słabe dla teleskopów, nawet na Merkurym. Przyrządy nie są w stanie ich wychwycić, na tle Słońca. Masa planety jest za mała, aby widoczne były jej tranzyty, a jej tarcza niemal nie odbija światła.

Słuchawki radia przekazały mu odpowiedź Avery'ego bardzo czysto, i Falken uświadomił sobie, że materiał z którego zbudowana była powierzchnia planety, stanowił dobrą izolację przeciwko falom radiowym generowanym przez Słońce, które normalnie uniemożliwiałyby wszelką komunikację.

– Coś w rodzaju ciemnego obcego, kryjącego się w kosmosie – powiedziała Sheila i zadrżała. – Popatrz tylko, Eric! Czy to nie jest wejście do jaskini?

Serce Falkena fiknęło koziołka z nadziei. Na Plutonie również były jaskinie. Być może, w ukrytym sercu tej dziwnej planety…

Ruszyli w stronę otworu. Było zaskakująco ciepło. Falken przypuszczał, że czarna skała rozprowadzała ciepło słoneczne, zamiast je zatrzymywać.

Nad ich głowami wznosiły się poszarpane, cienkie iglice skalne, strzelające wysoko w gwiazdy. Sporadycznie, pojawiały się na nich przytłumione błyski światła, spływające na dół i ginące w hebanowo czarnych głębinach dolin. Przed nimi otworzyło się wejście jaskini, a ich reflektory oświetliły błyszczące ściany, opadające pionowo w dół, i niknące w rozpościerającej się poniżej czerni.

Falken odwinął linkę z włókna syntetycznego, o długości tysiąca stóp, którą miał uwiązaną u pasa. Była nie grubsza niż pajęcza nić, a dostatecznie mocna, aby równocześnie utrzymać i Falkena i Avery'ego. Przywiązał do niej ciężarki zabrane każdemu, z jednego z metalowych butów, i rzucił obciążony koniec na dół.

Wydawało się, że lina leciała bez końca, ponieważ ołowiane ciężarki, przy słabej grawitacji, spadały bardzo powoli. Osiemset, dziewięćset stóp. Kiedy w dłoni Falkena, pozostało już niewiele ponad pięć stóp linki, zatrzymała się.

– No, dobrze – stwierdził. – *Jest* dno.

Paul Avery złapał go za ramię.

– Nie chcesz chyba zejść na dół?

– A dlaczego, nie? – Falken, zaintrygowany, obrzucił go groźnym spojrzeniem. – Ty możesz zostać tutaj, jeśli masz ochotę. Sheila?

– Idę z tobą.

– W porządku – wyszeptał Avery. – Ja też pójdę. – Jego bursztynowe oczy przez chwilę przypominały oczy schwytanego w pułapkę lwa. Pełne strachu i niebezpieczne.

Niebezpieczne? Falken z irytacją pokręcił głową. Wbił swój czekan w pęknięcie skały i dobrze umocował linkę.

– Trzymajcie się jej mocno – powiedział. – Będziemy latać jak balony, ale bądźcie ostrożni. Ja pójdę pierwszy. Jeżeli coś, tam na dole, pójdzie nie tak, to zrzucajcie obciążnik z drugiego buta i szybko wciągajcie się po linie, na górę.

Ruszyli w dół, huśtając się niemal przez wieczność, na obciążonej lince. Po ciemnych jak noc ścianach, przelatywały od czasu do czasu niewielkie błyski światła. Robiło się coraz goręcej. W pewnej chwili Falken uderzył w jakieś wybrzuszenie ściany, i poczuł że ześlizguje się wzdłuż nachylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni występu. Nagle zrobiło się jasno.

Falken wykrzyczał z całej siły ostre, gwałtowne ostrzeżenie.

Stworzenie było już niemal na nim. Kolos o płonących oczach, umiejscowionych na szypułkach o długości stopy, z rozdziawionymi pełnymi kłów szczękami i kłębami potężnych mięśni.

Falken złapał za swój blaster. Szybki ruch spowodował, że stracił równowagę. Sheila zjechała prosto na niego i powoli upadli razem, wpatrując się bezradnie w szarżujący na nich, w tęczowych wirach światła, modelowy okaz destrukcji.

Stwór przemknął koło nich, w zupełnym milczeniu.

Paul Avery wylądował z blasterem gotowym do strzału. Falken i Sheila pozbierali się na nogi, oblani zimnym potem grozy.

– Co to było? – wysapała Sheila.

– Bóg jeden wie – odpowiedział jej Falken drżącym głosem. Odwrócił się, żeby rozejrzeć się po otoczeniu.

I natychmiast zepchnął innych w cień występu.

Za kolosem, który ich minął, gonili jacyś jeźdźcy. Jeźdźcy o kształtach tak szaleńczo dzikich, że żaden człowiek nie zdołałby sobie tego nawet wyobrazić. Jeźdźcy jadący na rumakach, wyglądających jak ogony śmigających komet, pokrzykujący na stado pędzących przed nimi koszmarnych psów myśliwskich…

Oblał go zimny pot.

– Jak oni mogą przeżyć bez powietrza? – wyszeptał. – I dlaczego nas nie widzieli?

Nie było na to, w tej chwili, żadnej odpowiedzi. Ale, przynajmniej na razie, byli bezpieczni. W otaczającym ich świetle, przemieszczającej się siatce pryzmatycznych kolorów, nie było widać niczego, co by się poruszało.

Stali na podłożu złożonym ze szklistej, czarnej skały. Wszędzie wokół nich, ściany i sklepienie jaskini, rozstępowały się, niknąc w powodzi gwałtownego światła. Widocznie światło słoneczne, przebijało się przez skorupę planety. Przed nimi zaś rozciągała się hebanowa równina, zakrzywiająca się tak, by dostosować się do krzywizny skał sklepienia i powierzchni planety.

Falken wpatrywał się w to zgorzkniałym wzrokiem. To nie było niebo. Żadne żywe istoty, tak jak on rozumiał życie, nie byłyby w stanie przetrwać w tej dziurze. A jednak życie tutaj istniało, życie jakiegoś szalonego rodzaju. Za drugim razem, mogłoby im nie udać się stąd uciec.

– Lepiej zawróćmy – powiedział ze zmęczeniem, i odwrócił się, żeby złapać linę.

Skalny występ znikł.

Przed nimi wznosiła się, jakby kpiąc sobie z niego, gładka ściana skalna, bez śladu załomu. Zdusił w sobie szybkie pchnięcie lęku.

– Szukajcie liny – rzucił ostro. – Ona musi gdzieś tutaj być.

Ale nie było jej. Przeszukali najbliższe otoczenie i zebrali się razem, wpatrując się w siebie nawzajem, oczyma, w których z wolna, zaczęły już pojawiać się błyski szaleństwa.

Paul Avery ostro się roześmiał.

– Tutaj coś jest – stwierdził. – Coś żywego.

– Oczywiście, ty głupcze! – warknął na niego Falken. – Te stworzenia…

– Nie. To coś innego. Coś, co się z nas śmieje.

– Zamknij się, Avery – przerwała mu Sheila. – Nie wolno nam teraz się posypać.

– Jak również, nie możemy tak dalej stać i gapić się na siebie – Falken rozglądał się po równinie, próbując dostrzec coś przez tęczową kotarę. – Równie dobrze możemy zostać odkrywcami. Może uda nam się znaleźć jakąś inną drogę na zewnątrz.

Avery zachichotał, bez śladu wesołości w głosie.

– A może tak droga w ogóle nie istnieje. Możliwe nawet, że nie było żadnej drogi do środka. Co się z nią stało, Falken?

– Opanuj się – powiedział jedwabistym głosem Falken, – albo za chwilę zedrę ci z twarzy maskę powietrzną. No, dobrze. Chodźmy.

Wyruszyli w długą drogę, przez pozbawioną powietrza równinę, w bezdźwięcznej ciszy, ślizgając się po szklistej skale, oszołomieni przez wirujące kolory.

Po pewnym czasie, Falken ujrzał zamek.

Wyłonił się przed nimi zupełnie nagle –– z olbrzymimi przysadzistymi skrzydłami, dziwnymi, powykręcanymi wieżyczkami, i sporadycznie trafiającymi się oknami. Falken groźnie popatrzył na budowlę. Był pewien, że jeszcze przed chwilą jej nie widział. Być może, to przez to światło…

Zawahali się. Lodowe ciarki przeszły po skórze Falkena. Mogliby próbować go obejść, ale po obu stronach zamku, czarne skały zdawały się rozciągać w nieskończoność.

– Idziemy do środka – zdecydował i wzdrygnął się, na samą myśl o spotkaniu z ludźmi, podobnymi do tych, którzy polowali na płomiennookiego kolosa.

Z blasterami gotowymi do strzału, weszli na górę, po tytanicznych schodach. Przed nimi rozpościerała się olbrzymia sala bez drzwi. Ruszyli w jej głąb.

Falken odebrał, budzące zawrót głowy, uczucie zmiany. Ściany zadrżały, jak gdyby uderzył w nie od zewnątrz potok wody. A wszędzie wokół wielkiej Sali, pojawiły się drzwi.

Otworzył jedne z nich. Po wejściu, zobaczyli okrągłą salę, z kolejnymi drzwiami. Odwrócił głowę do tyłu. Sala, z której tutaj przyszli, już zniknęła. Pozostały tylko drzwi. Setki. O najdziwniejszych kształtach i rozmiarach, jakby z niezbyt dokładnie zapamiętanych wspomnień.

Paul Avery zaczął się śmiać.

Falken uderzył go mocno w hełm. Śmiech ucichł, ale Sheila schwyciła za wyciągniętą rękę Falkena, starając się coś mu pokazać.

Za nimi pojawiły się cienie, śmigające i wirujące, jak jakieś potworne ptaki. Zimny strach chwycił Falkena za serce. Cienie wyraźnie na nich polowały…

Falken zdusił szaleńczy śmiech, który zaczął wzbierać mu w gardle. Otworzył następne drzwi.

Kolejne sale z drzwiami. Pędzące za nimi cienie. Falken zaczął coraz szybciej szarpać za drzwi, otwierając je na oścież, ale ani razu nie znalazł za nimi niczego, poza następną salą z drzwiami.

Zrobiło mu się ciężko na sercu i coraz silniej czuł kłucie niepokoju. Odzież, pomimo tego, że okrywała jego spocone ciało, zrobiła się zimna. Rzucał się bez przerwy, w kolejne czarne sale z latającymi w nich skrawkami światła, z tańczącymi wszędzie wokół cieniami –– i drzwiami, drzwiami, drzwiami.

Paulowi Avery wyrwał się krótki, pusty chichot.

– To śmieszne – wymamrotał i upadł na czarną podłogę. Cienie podskoczyły.

Oczy Sheili w jej wychudzonej od głodu twarzy, płonęły zaskakująco silnym ogniem. Jej strach uderzył w umysł Falkena jakby obuchem, pozwalając mu nieco ochłonąć.

– Bierz go za nogi – powiedział do niej szorstko. – Bierz go za nogi.

Ruszyli dalej, zataczając się pod niesionym ciężarem. Wkrótce drzwi się skończyły, zniknął również wiszący w górze dach. Pozostało tylko światło, szkliste ściany i tańczące cienie.

Ściany miejscami zrobiły się cienkie. Falken widział przez nie czarnego kolosa z płonącymi oczyma, z wysiłkiem pędzącego dalej, w zalewającym wszystko świetle. Za nim podążali łowcy i ich psy, nie nadrabiając nad nim, ani nie zostając z tyłu, mknący w tej pogoni, ze ślepym zaabsorbowaniem.

Ściany znikły. Cienie również. Byli teraz zupełnie sami, stojąc pośrodku czarnej równiny. Falken odwrócił głowę do tyłu, żeby obejrzeć zamek.

Za nimi nie było niczego, poza twardą i gołą skałą.

Położyli Avery'ego. Zobaczył, że Sheila Moore upada obok niego. Roześmiał się, jednym, krótkim, szalonym chichotem. Potem przykucnął przy pozostałych, a jego pokryta bliznami, cygańska twarz, zmieniła się w maskę z żywego kamienia.

Falken nie wiedział, czy było to niemal od razu, czy może cztery godziny później, ale usłyszał głos. Głos, który słyszał wyraźnie w swoim umyśle. Poderwało to go do uniesienia w pustym geście blastera.

– Jesteście ludźmi – stwierdził głos. – To cudowne!

Falken popatrzył do góry, wyczuwając zmianę padającym na nich świetle.

W górze coś się unosiło. Dziesięciostopowy obszar, zmaterializowanej jasności, jądro oślepiającego światła, w pienistej otoczce iskrzącego się ognia.

Falkena chwyciło za gardło piękno tego czegoś. Obiekt jaśniał pełną iskier pianą światłości, nieskończenie cudowną i wspaniałą –– żywy, delikatny ogień unoszący się w objęciach tęczowego światła. Jednocześnie Falkena chwycił również za serce głęboki smutek, wypływający z przyćmionych, zanikających kolorów, pod jasną woalką.

Obiekt przemówił wyraźnie, jako głos w jego umyśle.

– Tak. Jestem żywy i mówię do ciebie.

Sheila i Avery podnieśli się na nogi. Wpatrywali się w istotę, z szeroko otwartymi oczyma. Sheila szepnęła:

– Czym jesteś?

Ognista istota, okręciła się wokół siebie. Z jej brzegu, z lekkim trzaskiem wyskoczyły płomienie, a ogniste kolory roześmiały się.

– Kobieta, czy nie? Wspaniale! Będę musiał wymyślić coś bardzo specjalnego. – Przez kolory płomieni przebiegła delikatna zmarszczka, kiedy zmieniły się myśli istoty. – Wy ludzie, naprawdę mnie zadziwiacie. Nie mogę czytać waszych myśli, poza tymi, które są telepatycznie skierowane bezpośrednio do mnie, ale jestem w stanie wyczuć ich emisje energii. Jako najsilniejsze, odebrałem tego o żółtych oczach, on również wydawał się być najmocniejszy, a jednak poniósł porażkę, podczas gdy inni z was wywalczyli sobie przejście.

Avery wpatrywał się w Falkena, a w jego bursztynowych oczach, zaczęło z wolna świtać przerażone zrozumienie. Falken spytał świetlistą istotę:

– Czym jesteś?

Unoszący się nad nimi ogień zafalował i zawirował, feerią barw. Przepyszne, pawie kolory przemknęły po nim kolejnymi falami, by na koniec zatonąć w gwałtownym, dumnym szkarłacie. Istota odpowiedziała:

– Jestem Dzieckiem Słońca.

Przyglądała się jak opadają im szczęki w oszołomieniu i zdumieniu, śmiejąc się, złotymi, kpiącymi nutkami.

– Opowiem wam, ludzie. Okazja, by mieć widownię, nie stworzoną przeze mnie, pozwoli mnie nieco zabawić. Popatrzcie.

Przed nimi uformowała się płyta szklistej skały. Głęboko w niej rozjaśniał jaskrawy punkt.

To było Słońce, w pierwszym rozbłysku młodości. Kroczyło jeszcze samotnie na ścieżce swojej galaktycznej orbity. Wtedy, z wirujących głębi kosmosu, nadleciało drugie słońce.

Było ono ogromne, płonące niebieskobiałym ogniem. Po odbytych godach, w rozbłysku nieziemskiego ognia, narodziło się dziewięć planet.

Pojawiło się również życie. Nie na dziewięciu, ciągle jeszcze płonących planetach, ale w swobodnym kosmosie. Małe kule ognia, odpryski samego Słońca, wstrząśnięte w jakiś sposób, przez potężną eksplozję energii, ciśnięte do stanu inteligentnego.

Obraz rozmył się.

Kolory unoszącego się ognia, zrobiły się ciemniejsze i jakby senne.

– Było nas wielu – westchnęła istota. – Byliśmy jak niewielkie Słońca, żyjące dzięki konwersji swoich własnych atomów. Wyruszyliśmy w otwarty kosmos…

Przez ekran przemknęły jakieś rozmyte obrazy, chwały przekraczającej ludzkie zrozumienie –– zacierające się barwy obcych planet i wielkich wirujących słońc, dalekiego kosmosu. Głos wyszeptał:

– Tak jak Słońce, promieniowaliśmy naszą własną energią. Mogliśmy pobierać siłę od naszego rodzica, ale w niewystarczających ilościach. Umieraliśmy. Ale ja byłem silniejszy niż reszta i bardziej inteligentny. Zbudowałem sobie skorupę.

– Zbudowałeś to! – zawołał Avery. – Ale jak?

– Cała materia stworzona jest z czystej energii, elektronów i protonów istniejących w stanie swobodnym. Z części mojej własnej masy, zbudowałem wokół siebie ten świat, aby zatrzymywać energię Słońca i ograniczać emisję mojego własnego promieniowania życiowego.

– Żyłem, w miejscu, w którym wymarła moja rasa. Obserwowałem jak planety ochładzają się i ożywają, a następnie umierają. Ja również nie jestem nieśmiertelny. Moja masa coraz bardziej się zmniejsza i ulatuje poprzez moją skorupę. Ale to zajmie jeszcze dużo, dużo czasu. Na tyle, że będę obserwował również, śmierć Słońca.

Głos zamilkł. Kolory, były już jedynie popiołami światła. Falkena ogarnął olbrzymi, przejmujący smutek.

Wkrótce potem jednak, małe złośliwe płomyki ponownie rozpaliły się do życia, a głos oznajmił:

– Moim największym problemem jest brak rozrywki. Tutaj, w tej czarnej skorupie, zmuszony jestem czerpać przyjemności wyłącznie ze swojej własnej wyobraźni.

Falken złapał głęboki oddech.

– A więc ci łowcy, ten występ skalny, który zniknął i ten piekielny zamek? – Poczuł jednocześnie lodowate zimno i gorąco.

– Niezłe, co? Stworzyłem te łowy już parę eonów temu. Zgodnie z moim zamysłem, ani ta bestia nie może uciec, ani łowcy nie mogą jej złapać. Ale, dzięki niewielkiemu czynnikowi niepewności, jest pewna szansa, że w czasie paruset miliardów lat, jedno lub drugie wydarzenie, może w końcu nastąpić. Na razie jednak, polowanie zapewnia mi niekończącą się rozrywkę.

– A zamek? – zapytał jedwabistym głosem Falken. – An także służy twojej zabawie?

– Och, tak! Te wasze emocjonalne reakcje… Bardzo interesujące!

Falken uniósł swój blaster i wystrzelił w samo jądro światła.

Żyjący ogień zawirował i skręcił się. Dziecko Słońca roześmiało się.

– Czysta energia, tylko mnie karmi. A więc, czy nie ma już żadnych dalszych pytań?

Głos Falkena był nadal bardzo delikatny.

– Czy nie myślisz o niczym innym, poza rozrywką?

Przez rozbuchane kolory przebiegły zmarszczki, a spod nich zaczęły wyglądać przyćmione, smutne, jasne fiolety.

– A czymże innym mógłbym wypełnić sobie czas.

Czas. Czas od chwili, kiedy niewielki, zamarznięty Pluton, był żarzącym się gazem.

– To ty zamknąłeś wejście, którym się tutaj dostaliśmy? – nagle stwierdził Avery.

– Oczywiście.

– Ale otworzysz je z powrotem? Pozwolisz nam stąd wyjść?

Ton jego głosu zdradzał go wyraźnie. Falken również to wiedział, tak samo jak i Sheila.

– Nie – zduszonym głosem odpowiedziała mu Sheila. – To nas nigdy nie wypuści. Będzie nas tutaj trzymać, bawiąc się z nami, dopóki nie umrzemy.

Brzydkie, ciemne czerwienie, spłynęły po Dziecku Słońca.

– Śmierć! – wyszeptało. – Moje stworzenia istnieją, dopóki nie zażyczę sobie ich zniknięcia. Ale śmierć, prawdziwa śmierć –– to byłaby najwyższa rozrywka!

Falkena opanowała rozpaczliwa, bezradna wściekłość. Ta ogromna, pusta, zamknięta przestrzeń, kpiła sobie z niego i z jego martwych nadziei. Drwiła potężnymi ścianami, tworzonymi i przemieszczanymi mocą

tego ślicznego, pozbawionego duszy płomienia, jakby to były zasłony z dymu.

Tworzonymi i przemieszczanymi…

Nagły wybuch ognia uderzył w jego mózg. Stał wyprostowany, uderzony i oszołomiony, samą wielkością swojego pomysłu. Zaczął drżeć, a dzika nadzieja przepełniła go z taką mocą, że napuchły mu i rozbolały go wszystkie żyły.

Odezwał się, z największą starannością.

– Nie potrafisz więc tworzyć prawdziwych żywych stworzeń, czy nie tak?

– Nie – odparło Dziecko Słońca. – Mogę otrzymać substancje chemiczne, z których składają się ich ciała, ale iskra życia ciągle mi umyka. Moje stworzenia są zwykłymi zabawkami, poruszanymi przez oddziaływania elektryczne między atomami. One myślą, w pewien ograniczony sposób, i mogą czuć podstawowe emocje, ale nie żyją, w prawdziwym sensie tego słowa.

– Ale jesteś w stanie otrzymać inne rzeczy? Skałę, ziemię, wodę, powietrze?

– Oczywiście. Wymagałoby to użycia sporej części mojej siły i osłabiłoby moją skorupę, ponieważ musiałbym rozdzielić część skał na pierwiastki, a następnie je przebudować. Ale chyba nawet mógłbym to zrobić, bez poważniejszej straty.

Zapadła cisza. W oczach Falkena, zapłonęły odległe niebieskie ogniki. Widział, że pozostali przyglądają mu się ze zdziwieniem. Rozważał ryzyko ogromnego niepowodzenia, ciążące nad nim, jak czarne chmury burzowe, uwieńczone szaleństwem i śmiercią.

Ale dusza dygotała mu w uniesieniu, kiedy patrzył na stworzenie będące ośrodkiem tego wszystkiego.

Dziecko Słońca spytało jedwabistym głosem:

– Dlaczego miałbym to wszystko robić?

– Dla rozrywki – wyszeptał Falken. – Najwspanialsza zabawa, jaką kiedykolwiek miałeś.

Ponownie rozbłysły jaskrawe kolory.

– Opowiedz mi, człowieku!

– Najpierw musimy dobić targu.

– Dlaczego w ogóle miałbym się targować? Jesteście moi, mogę zrobić z wami wszystko, co zechcę.

– Zgadza się. Ale nie wytrzymalibyśmy zbyt długo. Po co miałbyś marnować swoją wyobraźnię dla trójki z nas, kiedy możesz mieć do dyspozycji tysiące?

Bursztynowe oczy Avery'ego szeroko się otworzyły. Szok i niedowierzanie osłabiło zesztywniałe mięśnie Sheili.

– Tysiące ludzi, którymi mógłbym się bawić?

Ta żarliwa zachłanność, przyprawiła Falkena o mdłości. Jak dziecko, pożądające jaskrawo pomalowanej zabawki –– tylko że tutaj zabawkami były ludzkie dusze.

– Nie, zanim nie zawrzemy umowy – powiedział.

– No, dobrze! Na czym polega ta umowa? Szybko!

– Wypuść nas stąd, a zyskasz zdobycz, o której ci opowiem.

– Być może wypuszczę was, a potem nie zyskam niczego.

– Musisz nam zaufać – nalegał Falken. Cały drżał, a wszystkie nerwy go bolały. – Posłuchaj. Tysiące spośród moich ludzi, żyją jak ścigane zwierzęta, na pustkowiach Układu Słonecznego. Potrzebują jakiegoś świata, żeby w ogóle przetrwać. Jeżeli zbudujesz im taki, w sercu tej planety, sprowadzę ich tutaj. Ty ich nie zabijesz. Pozwolisz im tutaj żyć, żeby podziwiali cię i sławili, za ratunek dla nich. Przez pewien czas, znakomitą zabawą, będzie po prostu zwykła ich obserwacja. Potem mógłbyś zabierać kogoś, raz i tylko na chwilę, aby wziął udział w jakiejś specjalnej grze. Ja wcale tego nie chcę, ale już lepiej żyć w taki sposób, niż zostać doszczętnie zniszczonym.

– Lepiej, również dla ciebie, co? – Dziecko Słońca zawirowało z zastanowieniem. – Rozmnażać ludzi, jak krowy, zawsze mieć jakiś zapas. To cudowny pomysł…

– A więc, zrobisz to? – Pot zupełnie zalał brew Falkena.

– Być może… Tak! Powiedz mi, szybko, czego chcesz!

Falken odwrócił się do swoich oszołomionych i niedowierzających towarzyszy. Chwycił ich oboje za ręce, boleśnie mocno.

– Zaufajcie mi. Zaufajcie mi, na miłość Boską! – szepnął do nich. A później, na głos: – Pomóżcie mi, szybko określić, czego będziemy potrzebowali.

W świetle Dziecka Słońca, pojawiła się lekka zmarszczka złocistych nut śmiechu, ale Falken obserwował oczy Sheili. Przebiegł przez nie błysk zrozumienia, mrugnięcie dzikiej nadziei.

– Tlen – podpowiedziała. – Azot, wodór, dwutlenek węgla…

– I ziemia – dodał Falken. – Wapno, żelazo, aluminium, krzem…

Przybyli na zbocze pokryte surową, czerwoną ziemią, ciągle jeszcze mokrą od deszczu. W oddali wznosił się łańcuch niskich wzgórz, odbijających się na tle dziwnego, czarnego nieba. Małe, poszarpane obłoczki, unosiły się niewysoko nad nimi, skąpane w tęczowym świetle.

Falken podniósł się na nogi. Jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem, rozciągały się pofałdowane tereny pokryte nagą ziemią, pocętkowane mosiężnymi kałużami i niewielkimi, rudawymi strumykami. Otworzył hełm i odetchnął ciepłym, mokrym powietrzem. Wziął w palce odrobinę ziemi, rozkruszył ją i pomyślał o Nieregeneratach, kryjących się w swych mroźnych norach.

Uśmiechnął się, aby ukryć łzy w twardych, niebieskich oczach.

Sheila również wyrwał się lekki szlochający śmiech i zawołała:

– Eric, to jest gotowe!

Paul Avery uniósł ciemnozłote oczy, spoglądając na wzgórza i milczał.

W powietrzu, w miejscu gdzie unosiło się Dziecko Słońca, rozległa się śmiejąca się feeria kolorów. Malutkie złośliwe płomyki, zalały smutne, delikatne, jasne fiolety. Dziecko Słońca powiedziało:

– Popatrz, Ericu Falken. Tam, za tobą.

Falken odwrócił się… i spojrzał w swoją własną twarz.

Stało tam, jego własne szczupłe ciało, w podniszczonym skafandrze próżniowym, z jego cygańską twarzą, i kłębowiskiem przyprószonych szronem loków. Tylko oczy były inne. Chłodny, odległy błękit był w porządku, ale widać w nich było złośliwe plamki złota, podstępne iskierki, podobne do…

– Tak, wymruczało Dziecko Słońca. – To ja, maleńka cząstka, służąca do aktywacji powłoki ciała. Doskonałe podobieństwo, czy nie?

Powoli skradający się chłód, dotknął serca Falkena.

– Dlaczego? – spytał.

– Już dawno temu nauczyłem się od ludzi sztuki kłamstwa. Kłamałem również o tym czytaniu myśli. Twój plan, aby wmanewrować mnie w budowę tego świata, a potem mnie zniszczyć, był mi znany, już od chwili jego powstania.

Roześmiane, złośliwe kolory kręciły się i wirowały.

– Och, ależ ja się z tego cieszę! Jeszcze nigdy, od czasu kiedy zbudowałem swoją skorupę, nie miałem takiej zabawy! Czy domyślasz się, dlaczego zrobiłem twoją kopię?

Wargi Falkena były napięte aż do bólu, a oczy płonęły gwałtownymi wyrzutami na swoją głupotę.

– To… on poleci moim statkiem, żeby sprowadzić tutaj naszych ludzi.

Wiedział, że Dziecko Słońca przechwyciło zawartość jego nieświadomego mózgu równie czysto, jakby zrobiło to psycho-przeszukanie Hiltonistów.

W nagłym napływie desperacji, wyciągnął swój blaster i strzelił do kpiącego z niego sobowtóra. Tuż zanim nacisnął języczek spustu, pomiędzy nimi wyrosła ściana hebanowego szkła. Wystrzelony promień ześlizgnął się po niej nieszkodliwym ogniem, wypalił się i zgasł.

Drugi Falken odwrócił się i odszedł, przez nowo stworzoną krainę. Falken przyglądał mu się, dopóki nie zniknął z zasięgu wzroku, nie poruszając się, ani nic nie mówiąc, ponieważ w tej sytuacji nic już nie można było zrobić, ani powiedzieć.

Piękny, zły ogień Dziecka Słońca, nagle przygasł.

– Jestem zmęczony – powiedziała istota. – Muszę wyssać macierzyńską pierś Słońca, i odpocząć.

Dziecko Słońca odleciało gdzieś daleko. Pomimo całej dręczącej go agonii, Falken poczuł pchnięcie w sercu, na widok jego smutnych, przyćmionych kolorów. Zniknęło jak samotna smużka dymu w tęczach rozszczepionego światła.

Wkrótce ujrzeli oślepiający błysk i poczuli ostry ruch powietrza w stronę otwartej w powłoce szczeliny. W oddali, Falken zobaczył ogniste stworzenie, przyciśnięte do sklepienia i pulsujące podczas czerpania energii z surowych płomieni Słońca.

– O, Boże – wyszeptał Falken. – O Boże, co ja zrobiłem?

Potem Falken roześmiał się, ochrypłym, dzikim szlochem. Następnie stanął zupełnie nieruchomo, z rękoma spuszczonymi po bokach i z twarzą jakby wyciętą, z ciemnego kamienia.

– Eric – wyszeptała Sheila. – Proszę. Nie potrafię być dzielna za ciebie, przez cały czas.

To spowodowało, że poczuł się zawstydzony swoim zachowaniem. Strząsnął z siebie czarną rozpacz, zastępując ją cynicznym fatalizmem.

– W porządku, Sheila. Bądźmy bohaterami, aż do gorzkiego końca. Ty, Avery. Uruchom w końcu swoją mózgownicę. W jaki sposób możemy ocalić naszych ludzi, a przy okazji nasze własne skóry?

Avery cofnął się, jakby ukłuła go jakaś szybka szpila bólu.

– Nie pytaj mnie, Falken! Nie pytaj!

– A dlaczego nie? O co ci, u diabła, chodzi… – Falken urwał w pół słowa. Na jego twarzy pojawiło coś zimnego, a jednocześnie gwałtownego i przerażającego. – Zaraz, zaraz, Avery – łagodnie oznajmił. – Czy to znaczy, że wydaje ci się, iż znasz jakiś sposób?

– Ja… Na miłość Boską, dajcie mi spokój!

– Znasz sposób – nieubłaganie naciskał Falken. – Dlaczego miałbym cię nie pytać, Avery? Dlaczego nie miałbyś spróbować uratować swoich towarzyszy?

Złote oczy odpowiedziały na jego spojrzenie, zdesperowane, wyzywające, oszołomione i żałosne, wszystko to na raz.

– Oni nie są moimi towarzyszami – wyszeptał Avery.

W tym momencie, jakby otoczyła ich dziwna cisza. Bezgłośne, wirujące tęcze, zamiatały świeżą ziemię, migocząc w mosiężnych kałużach. Gdzieś daleko w górze, przy czarnym kryształowym sklepieniu, pulsowało i oddychało Dziecko Słońca. A wszędzie panowała cisza, jak makiem zasiał.

Eric Falken zrobił powolny, pełen napięcia krok w kierunku Avery'ego, i powiedział:

– Kim ty jesteś?

Odpowiedź zaszeptała ponad surową, czerwoną ziemią.

– Nazywam się Miner Hilton i jestem synem Gantry'go.

Falken uniósł blaster, który do tej pory, zapomniany spoczywał mu w dłoni. Miner Hilton, nazywający się Paulem Avery, spoglądał przez cały czas w twarz Falkena, okrytą żelazną tarczą, skrywającą zimny, przerażający płomień.

Zadrżał, ale nie poruszył się, ani nic nie powiedział.

– Znasz sposób na walkę z tym stworzeniem – powiedział Falken, miękko wydobywającym się z gardła głosem. – Chciałbym cię zabić. Ale ty znasz sposób.

– Ja… ja nie wiem. Nie potrafię… – Spojrzenie złotych, udręczonych oczu, przesunęło się na Sheilę Moore i spoczywało na niej ze strasznie zagubioną intensywnością.

Rozbłysły białe zęby Falkena.

– Przecież chce pan nam to powiedzieć, panie Hilton. Chcesz nam pomóc, nieprawdaż? Z powodu Sheili!

Twarz młodego Hiltona zrobiła się intensywnie czerwona, a następnie zbielała. Sheila krzyknęła ostro:

– Ericu, nie! Czy nie widzisz, że on strasznie cierpi?

Ale Falken pamiętał o Kitty, o dzieciach, które rodziły się i umierały na pokrytych lodem skałach, ludziach pozbawionych słońca i miejsca schronienia. Naciskał więc twardo:

– Ona nigdy by ci tego nie wybaczyła, Hilton. A ja powiem ci tak. Być może nie zdołam wycisnąć z ciebie tego, co wiesz. Ale jeżeli tak się stanie, to przysięgam na Boga, że zabiję cię, moimi własnymi rękoma.

Odrzucił nagle głowę do tyłu i roześmiał się:

– Syn Gentry'ego Hiltona –– zakochany w Nieregeneratce!

– Zaczekaj, Ericu. – Sheila Moore położyła dłoń na jego ręce, aby go powstrzymać, i wyszła przed niego. Chwyciła Minera Hiltona za ramiona, popatrzyła mu w twarz i powiedziała: – Nic nie jest niemożliwe, Minerze Hilton. Nie, jeżeli to co myślę, jest prawdą.

Falken wpatrywał się w nią z oszołomieniem i zdumieniem, odbierającym mu mowę i paraliżującym ciało. W tej chwili jego serce rozrywał nagły ból, i już wiedział, z całą jasnością nagle objawiającej się prawdy, że kochał Sheilę Moore.

Ona zaś mówiła dalej do Minera Hiltona.

– Dlaczego to wszystko zrobiłeś? I jak?

Głos młodego Hiltona był bezbarwny i pełen napięcia. Wykonał ruch, jak gdyby chciał zdjąć jej ręce ze swoich ramion, ale tego nie zrobił. Wpatrywał się poprzez jej czerwono-złotą głowę, w Falkena.

– Coś trzeba było zrobić, żeby powstrzymać Nieregeneratów. Oni są barierą do pełnego spokoju, są nieustannym kłopotem. Eric Falken jest ich bogiem, dokładnie tak jak… jak powiedziała to Sheila. Gdyby udało nam się złapać go w pułapkę, reszta byłaby już prosta. Moglibyśmy uleczyć jego towarzyszy.

Po chwili podjął dalej:

– Mój ojciec nie mógł tego zrobić osobiście. Jest już stary, i za bardzo znany. Wysłał mnie, ponieważ dysponuję jedynym mózgiem, mogącym sprostać temu co musiałem zrobić. Ojciec dobrze mnie wyszkolił. Aby przeprowadzić mnie przez psycho-przeszukanie, ojciec nałożył mi czasowy wzorzec mózgowy. Kiedy zostałem już zaakceptowany jako uchodźca, nawiązałem z nim kontakt umysłowy…

– Kontakt umysłowy – złapał powietrze Falken. – To właśnie to. To dlatego byłeś zawsze taki zmęczony, kiedy nie mogłem zgubić pościgu.

– Pójdźmy dalej – przerwała mu Sheila, z dziwną łagodnością.

Hilton wpatrywał się w powietrze, nie widząc niczego.

– Niemal już cię miałem w Losangles, Falken, ale byłeś za szybki dla Straży. Potem, kiedy złapaliśmy cię w pułapkę koło Merkurego, próbowałem zmusić cię do zaśnięcia. Prowadziłem również te statki. Ale byłem już za bardzo zmęczony, a ty walczyłeś zbyt dobrze, ty i Sheila. Po tym wszystkim, znaleźliśmy się za blisko Słońca. Fale moich myśli, nie były w stanie dosięgnąć statków.

Popatrzył na Falkena, a następnie na szczupłą twarz Sheili.

– Nie wiedziałem, że istnieją tacy ludzie, jak wy – wyszeptał. – Nie znałem ludzi, potrafiących czuć różne rzeczy i walczyć za nie w taki

sposób. W moim świecie nikt niczego nie pożąda, nikt nie walczy, ani nie próbuje… A ja, obawiam się, nie mam już sił.

Zielone oczy Sheili pochwyciły jego spojrzenie, chwyciły je z całą siłą.

– Zostaw ten świat – nalegała dziewczyna. – Widzisz przecież, że jest zły. Pomóż nam uczynić go z powrotem dobrym.

W tej chwili Falken zrozumiał, co ona robi. Przepełnił go podziw i radość, że tak naprawdę, to Hilton jej nie obchodzi –– a następnie wątpliwości, że być może jednak tak.

Miner Hilton zamknął oczy. Jego ręce nagle mignęły, cofnął się o krok, trzymając w dłoni gotowy do strzału blaster.

– Nie mogę – wyszeptał. Wargi zrobiły mu się zupełnie białe. – Mój ojciec mnie uczył. On mi ufa. A ja w niego wierzę. Muszę!

Hilton popatrzył w miejsce, w którym światło Dziecka Słońca pulsowało na tle hebanowo czarnej skały.

– Nieregeneraci już nie będą sprawiać nam problemów.

Przyłożył lufę blastera do swojej głowy.

Właśnie w tym momencie, Falken uświadomił sobie, że jego blaster jest pusty. Rzucił go na ziemię i skoczył na przeciwnika. Mocno uderzył w tułów Hiltona, powalił go na ziemię, chwytając rękę w której tamten trzymał broń. Ale Hilton był duży i silny.

Odtoczył się i uderzył lufą broni w skroń Falkena. Falken zwinął się w błocie, oszołomiony i zakrwawiony.

Roześmiał się jednak i powiedział:

– Dlaczego mnie nie zabiłeś, Hilton?

Hilton powiódł wzrokiem od nie tracącej rezonu, zawziętej twarzy Falkena, do Sheili. Blaster wyślizgnął mu się z palców. Zakrył twarz dłońmi i milczał, drżąc.

Falken stwierdził, z dziwną łagodnością.

– To wszystkiego dowodzi. Żeby zabić albo umrzeć w imię jakiejś sprawy, trzeba w nią wierzyć.

Hilton wyszeptał:

– Sheila!

Uśmiechnęła się i pocałowała go. Falken powiódł wzrokiem gdzieś daleko, ocierając sobie krew z oczu.

Hilton złapał nagle za hełm swojego skafandra próżniowego. Mówił szybko, równocześnie pracując:

– Dziecko Słońca tworzy, przy pomocy siły swojego umysłu. Rozumie ono działanie telekinezy, kontroli podstawowych sił elektrycznych wszechświata, przy pomocy myśli, tak samo, jak rozumieją to mądrzy ludzie, na naszej Ziemi. Ludzie którzy chodzili po wodzie, przesuwali góry, i leczyli chorych. Możemy je zaatakować tylko poprzez umysł. Spróbujemy osłabić siłę jego myśli, zniszczyć wszystko, co wyśle przeciwko nam.

Jego palce przeskakiwały błyskawicznie pomiędzy radiem hełmu i zestawem naprawczym, będącym nieodłączną częścią każdego skafandra próżniowego, chwytając za przewody, części zapasowe, narzędzia.

– Gotowe – stwierdził Hilton po dłuższym czasie. – Teraz wasze.

Falken podał mu swój hełm.

– Czy Dziecko Słońca nie będzie wiedziało, co robimy? – spytał dosyć szorstkim tonem.

Hilton pokręcił swoją piękną głową.

– Teraz jest bardzo słabe. Nie będzie o nas myśleć, dopóki się pożywia. Mamy jeszcze może ze dwie godziny.

– Czy potrafisz odczytywać jego myśli? – kwaśno dopytywał się Falken.

– W bardzo małym stopniu – odparł Hilton, a Sheila roześmiała się, cicho.

Hilton pracował z gorączkowym pośpiechem. Falken przyglądał się jego zręcznym palcom, tkającym tajemniczą pajęczynę przewodów, pomiędzy trzema hełmami, patrząc jak przełącza i zmienia, dostraja i koryguje. Obserwował jak Dziecko Słońca skrzy się i pulsuje, w miarę jak wlewa się w nie energia Słońca. Przyglądał się także Sheili, wpatrującej się w Hiltona rozjarzonymi zielonymi oczyma.

Nie był w stanie powiedzieć, ile czasu minęło. W końcu Dziecko Słońca wydało z siebie niewielką zmarszczkę westchnienia światła i poszybowało do dołu. Szczelina nad nim, natychmiast się zamknęła. Sheila złapała powietrze, które ostro zaświstało między jej zębami.

Hilton wstał. Pośpiesznie powiedział:

– Zrobiłem wszystko, co mogłem. To prymitywna prowizorka, ale baterie są mocne. Hełmy będą wychwytywać i wzmacniać impulsy energetyczne naszych mózgów. Będziemy transmitować jeden, wspólny, negatywny impuls, sprzeciwiający się każdemu pragnieniu, jakie będzie miało to słoneczne stworzenie. Stójcie blisko siebie, ponieważ jeżeli zerwą się przewody między hełmami, stracimy moc, a do pokonania tej istoty, będzie nam potrzebna cała siła, jaką mamy.

Falken nałożył swój hełm. Małe miedziane dyski, wycięte z arkusza blachy, jaki znajdował się w zestawie naprawczym, i przylutowane do przewodów z blastera Hiltona, dopasowały się do jego skroni. Przez otwory wizjerów, mógł dostrzec pajęczynę kabli, wybiegających z trzech hełmów, przez labirynt zapasowych siatek i kondensator, a następnie prowadzących do cienkiego drzewca, prymitywnej anteny kierunkowej.

Hilton polecił im:

– Skoncentrujcie się, na wspólnej odmowie, „Nie”.

Falken popatrzył na zbliżający się w ich stronę śliczny, błyszczący obłoczek.

– Nie będzie łatwo – stwierdził ponuro – dobrze się skoncentrować.

Oczy Sheili, obserwujące tę piankę żywego ognia, zrobiły się gwałtowne i dzikie. Twarz Hiltona była skryta. Powiedział:

– Włączcie swoje radia.

Z baterii popłynęła energia. Falken poczuł dziwne dzwonienie w swoim mózgu.

Dziecko Słońca unosiło się już nad nimi, w górze. Głos mentalny istoty jednak milczał, a Falken wiedział, że także jego własne myśli tłumione były przez prądy elektryczne w hełmie.

Złączyli ręce. Falken zmusił swój mózg do wyrzucenia z siebie negatywnego impulsu, podobnego do sygnału radiowego, sprzeciwiającego się wszystkim pragnieniem Dziecka Słońca.

Falken stał wraz z innymi na gąbczastym, uginającym się podłożu. We wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć, wznosiły się rozmyte kształty roślin, tworzące niemożliwą do spenetrowania plątaninę dziwnych figur geometrycznych, wywołujących zamieszanie w jego głowie, atakujących wzrok wrażeniem dystorsji przestrzennych.

W górze, na zielono-morskim niebie, po szaleńczych orbitach wokół wspólnego środka, krążyły trzy maleńkie słońca. W powietrzu unosił się odór czegoś gnijącego, ale ani zwierzęcego, ani roślinnego.

Falken stał nieruchomo, wytężając wszystkie swoje siły, aby przelać je we wspólne umysłowe polecenie powstrzymania.

Splątana, geometryczna gęstwina drzew, przez moment zadrżała. Dziecko Słońca w świetle trzech wirujących słońc, wyglądało oszołamiająco, wyraźnie poznaczone dającym do myślenia, gniewnym szkarłatem.

Otoczenie ponownie zastygło w bezruchu. A potem ziemia zaczęła się poruszać.

Całe podłoże pełzło małymi, głodnymi falkami, wokół stóp Falkena. Piżmowy, zgniły odór, zrobił się ciężki i namacalnie oleisty. Sheila i Hilton wydawali się odlegli i nierzeczywiści, z twarzami skrytymi za wizjerami hełmów.

Falken chwycił ich razem i zmusił swój mózg do dalszego działania. Widział, co to było. Odwzorowanie innej planety, zapamiętanej przez Dziecko Słońca, ze swojej młodości. Gdyby tylko mogli stać nieruchomo i w ogóle o tym nie myśleć…

Poczuł, że ziemia przechyla się do góry i domyślił się, że Dziecko Słońca uniosło swój twór, z podłoża pieczary.

Ziemia zaczęła usuwać mu się spod stóp.

Przez jedną, krótką chwilę zawrotu głowy, Falken zobaczył prawdziwe dno jaskini, pozostające coraz dalej w dole, i Dziecko Słońca lecące w otoczeniu tęczowego światła.

Było rozgniewane. Potrafił to powiedzieć na podstawie jego kolorów. Potem, nagle gniew zalany został wirem złocistych plamek.

Stworzenie się śmiało. Dziecko Słońca się śmiało.

Falken walczył z ostrą rozpaczą w duszy. Dręczył go straszliwy lęk przestrzeni. Usłyszał krzyk Sheili. Podłoże jaskini znowu zniknęło.

Sheila Moore spoglądała na niego, spomiędzy dwóch skręcających się drzew.

Nie wypuścił jej. Ale ona tam była. Włochate gałęzie owijały się wokół jej ciała, rozrywając skafander próżniowy. Krzyknęła rozpaczliwie…

Falken ryknął i rzucił się przed siebie. Coś usiłowało go powstrzymać, ale odepchnął to, oszalały tonem agonii w krzyku Sheili.

Coś ostro trzasnęło. W jego hełmie rozbłysło jasne wyładowanie. Upadł, pozbierał się chwiejnie na nogi, i rzucił się dalej, podczas gdy głodne gałęzie ze świstem odskoczyły of dziewczyny.

Dziewczyna stała tam nadal, przez porwany skafander próżniowy, widać było jej szczupłe, białe ciało, a ona… śmiała się z niego.

Zobaczył Minera Hiltona czołgającego się w oszołomieniu po żywym gruncie, w stronę tego stworzenia, wyglądającego jak Sheila, które śmiało się ze złocistymi plamkami w oczach.

Potężna ciemność ogarnęła duszę Falkena. Odwrócił się. Sheila Moore siedziała na ziemi, w miejscu gdzie odepchnął ją od siebie, walcząc o pójście z pomocą, fałszywej powłoce między drzewami.

Podszedł do niej i podniósł ją. Spytał Minera Hiltona:

– Czy możemy jakoś naprawić te porwane przewody?

Hilton pokręcił przecząco głową. Wstrząs wywołany rozłączeniem, zdawało się, że lekko go uspokoił.

– Nie. Za dużo popalonych elementów.

– A więc, zostaliśmy pokonani. – Falken zwrócił swoją gorzką, wściekłą twarz w stronę zielonego nieba, wznosząc w pustym geście pięść i wygrażając nią. Potem umilkł, patrząc na pozostałych.

Sheila miękko stwierdziła:

– To już koniec, co nie?

Falken skinął głową. A Miner Hilton powiedział:

– Teraz się nie boję. – Popatrzył na wiszące nad nimi drzewa i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Nie rozumiem tego. Teraz, kiedy wiem, że zginę, w ogóle się nie boję.

Zielone oczy Sheili były wilgotne i zamglone. Pocałowała Hiltona, powoli, czule, w wargi.

Falken odwrócił głowę do tyłu i wpatrywał się w poskręcane brzydkie drzewa. W ogóle ich nie widział. Wcale też nie myślał o Nieregeneratach i świecie, który dla nich wygrał, a potem utracił.

Ręka Sheili dotknęła go delikatnie.

– Ericu… – wyszeptała.

Jej głęboko zapadnięte oczy, pełne były wspaniałej zieleni. Blada, wychudzona twarz miała w sobie kruche piękno, rzeźbionego przez wiatr śniegu. Uniosła w górę ręce i uśmiechnęła się do niego.

Falken wziął ją w ramiona i zanurzył swoją cygańską twarz w czystym złocie jej włosów..

– Skąd wiedziałaś? – wyszeptał. – Skąd wiedziałaś, że cię kocham?

– Po prostu –– wiedziałam.

– A Hilton?

– On mnie nie kocha, Ericu. On kocha to, co ja reprezentuję. A poza tym… Mogę teraz to powiedzieć, ponieważ wkrótce zginiemy. Kochałam cię

od chwili kiedy po raz pierwszy cię ujrzałam. Kocham cię bardziej niż Toma, a mogłabym dla niego umrzeć.

Głodne gałęzie drzew sięgnęły ku nim, odrobinę tylko za krótkie. Pod ich stopami strzeliły pędy. Falken jednak zapomniał o nich, o całym tym otaczającym ich nieziemskim życiu, o wirujących słońcach, które były tylko snem, śnionym przez Dziecko Słońca.

W tej jednej chwili był szczęśliwy, tak bardzo, jak jeszcze nigdy od czasu kiedy utracił Kitty.

Po chwili odwrócił się do Hiltona i uśmiechnął się do niego. Wilczy wyraz zniknął całkowicie z jego twarzy. Hilton spokojnie stwierdził:

– Może ona ma rację co do mnie. Nie wiem. Jest tyle rzeczy o których nie wiem. Szkoda, że nie pożyję na tyle długo, żeby się przekonać.

– Wszystkim nam jest szkoda – odparł Falken, – jeśli chodzi o te kiepskie perspektywy przeżycia. – Nagły blask rozświetlił mu oczy. – Zaraz, zaraz! – wyszeptał. – Możemy mieć jeszcze szansę…

Poczuł ogromne napięcie i aż zaczął drżeć, ze straszliwego pośpiechu, a pędy rosły i wyciągały się wokół jego stóp.

– Powiedziałeś, że możemy je zaatakować tylko poprzez jego umysł. Ale może być jeszcze inny sposób. Jego pamięć, duma…

Uniósł swoją pokrytą bliznami, cygańską twarz w stronę zielonego nieba i zawołał:

– Hej ty, Dziecko Słońca! Posłuchaj mnie! Pokonałeś nas. No dalej, zabij nas. Ale pamiętaj o jednym. Ty jesteś Dzieckiem Słońca, a my jesteśmy tylko słabymi ludźmi, małymi robakami pełzającymi po ziemi, zakutymi w kajdany słabości i strachu.

Zadał finalny cios.

– Ale my jesteśmy więksi niż ty! Przez cały czas i na zawsze, więksi niż ty!

Skręcające się drzewa zamarły, pędy spowolniły swój zachłanny rozrost. Lekko, bardzo lekko, całe otoczenie zamigotało. Głos Falkena wzmógł się do donośnego krzyku.

– Byłeś Dzieckiem Słońca! Miałeś do zabawy całą galaktykę, całe olbrzymie przestworza kosmosu, którymi mogłeś igrać! A ty, co zrobiłeś? Zamknąłeś się jak tchórz w tym czarnym grobowcu i zmarnowałeś swoją wielkość na kaprysy godne podłego dzieciaka.

– Obawiałeś się swojego przeznaczenia. Byłeś za słaby dla swojej własnej siły. Podjęliśmy walkę z tobą, my słabe ludzkie istoty, i nasza siła była na tyle duża, że aby nas pokonać, musiałeś uciec się do pomocy szalbierczej sztuczki.

– Możesz czytać nasze myśli, Dziecko Słońca. Odczytaj je. Zobacz, czy się ciebie boimy. I zobacz, czy mamy dla ciebie szacunek, dla ciebie, który chwalisz się swoim pochodzeniem, marzysz o utraconej chwale, a ukrywasz się w tej ciemnej dziurze, jak wystraszony szczur!

Na jedną straszną chwilę, nieziemski świat zalany został szkarłatnym blaskiem –– gniewem tak wielkim, że niemal namacalnym. Potem

poświata poszarzała i zniknęła, a Falken zobaczył twarz Sheili, spokojną i uśmiechniętą, stojącą z dłonią zamkniętą na palcach Hiltona.

Grunt pod stopami nagle poleciał na dół. Rozmazane drzewa skręcały się na tle znikającego nieba, a słońca odleciały w hebanowy cień. Falken poczuł pod sobą czystą ziemię. Odór zgnilizny zniknął.

Popatrzył w górę. Nad ich głowami unosiło się Dziecko Słońca, wiszące pod skalistym pułapem. Wrócili do świata pieczary.

Głos Dziecka Słońca przemówił mu w głowie, a jego ognie płonęły przydymionym, mrocznym szkarłatem.

– Co takiego powiedziałeś, człowieku?

– Spójrz w moje myśli i odczytaj to. Odrzuciłeś swoją wielkość. My mieliśmy niewiele w porównaniu do ciebie, ale zachowaliśmy to. Wygrałeś z nami, ale twoje wielkie zwycięstwo jest dla ciebie wstydem, ponieważ ty, dziecko samego Słońca, poniżyłeś się do walki z małymi ludźmi.

Przydymiony szkarłat rozpalił się i rozrastał, w jaskrawy zły ogień, który był obrazem czystej furii. Falken poczuł w płomieniu śmierć, zbierającą siły aby w niego uderzyć. Ale stawił jej czoła z gorzkimi, szyderczymi oczyma, i nawet w takiej chwili, poczuł zaskoczenie, że w ogóle się nie boi.

Zaś rozwścieczony, szkarłatny ogień przygasł i poszarzał, a następnie zmienił się we roztrzęsioną mgiełkę smutnych, pastelowych jasnych fioletów.

– Masz rację – wyszeptało Dziecko Słońca. – A ja, jestem zawstydzony.

Popioły wypalonego płomienia, lekko się poruszyły.

– Wydaje mi się, że zacząłem już to rozumieć, kiedy tak dobrze ze mną walczyliście. Ty, Falken, który pozwoliłeś, żeby zdradziła cię twoja miłość, a potem pozbierałeś się i wygrażałeś na mnie pięścią. Mogłem cię zabić, ale nie mogłem cię złamać. Zmusiłeś mnie do przypomnienia sobie…

Głęboko, w jądrze Dziecka Słońca, pojawił się błysk dawnego, dumnego szkarłatu.

– Jestem Dzieckiem Słońca, i mam dla siebie całą galaktykę. Niemal o tym zapomniałem. Próbowałem zapomnieć, ponieważ wiedziałem, że to co zrobiłem, było oznaką słabości, było haniebne i tchórzliwe. Ale ty nie pozwoliłeś mi na to, Falken. Zmusiłeś mnie, abym to zrozumiał i pojął.

Po chwili przerwy, istota mówiła dalej:

– Zmusiłeś mnie do tego, bym pamiętał. Pamiętał! Jestem bardzo stary. W otwartym kosmosie, wkrótce umrę. Ale chciałbym jeszcze zobaczyć nieosłoniętą twarz Słońca i igrać między gwiazdami. Głód rozdzierał mnie już od eonów, ale ja się bałem! Bałem się śmierci!

Zakończyła:

– Weźcie ten świat, jako zapłatę za ból, który wam sprawiłem. Mój twór powróci tutaj w statku Falkena i zniknie w momencie lądowania. A teraz…

Szkarłatny płomień zapłonął i skręcił się. Przebiły się przez niego kolumny radosnego złota. Dziecko Słońca zadrżało, a jego małe, iskrzące się płomienie, stały się czystą wspaniałością, narodzonych w sercu Słońca opali.

Wzleciało w przepełnionym tęczami powietrzu, coraz wyżej i wyżej, pędząc w chmurze żyjącego światła w stronę czarnej kryształowej pokrywy pieczary.

Ponownie rozszedł się oślepiający rozbłysk, a później szybki, ostry powiew powietrza. Słabiutki głos w myślach Falkena powiedział:

– Dziękuję ci, człowieku. Dziękuję ci, za obudzenie mnie z tego śmiertelnego snu!

W powietrzu rozbłysnął ostatni dziki okrzyk kolorów. Następnie istota zniknęła, zmierzając w otwarty kosmos, w nagie płomienie Słońca, a skalisty dach ponownie był jedną całością.

Trójka milczących ludzi, stała na nagiej, czerwonej ziemi nowego świata.

KONIEC